ŚWIATŁO

Rok IX. Bytom G.-Szl., 15-go Września 1895. Nr. 18.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste **t** 101) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Gabryel Hołubek,

SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Ciąg dalszy.)

Od czasu wkroczenia wojsk Maksymiliana do Polski, kazał pan Wojciech trzymać bramę dzień i noc zawartą; tak ją też zastał pan von Lichtenstein. Zbliżającą się jego chorągiew spostrzeżono najpierw z folwarku i dano znać do dworu, dokąd schroniła się wszystka czeladź oprócz Maryśki; ta będąc przypadkiem na podwórzu i ujrzawszy, że pan Wojciech broni się ze swymi ludźmi, dosiadła pierwszego konia, jaki jej wpadł pod rękę i jak wicher pomknęła do Olkusza.

Nadchodzące wojsko von Lichtensteina powitano strzałami z okien stajni i oficyn; sam pan Wojciech kierował obroną i gdyby był miał dość ludzi, byłby się mógł bronić noc całą, gdyż nieprzyjaciel szturmował tylko do bramy. Jednakże przeważająca siła żołnierzy wnet zmogła garść dworskich pana Wisłockiego; brama poczęła się chwiać pod potężnymi razami, co widząc stary rycerz, pozostawił napastnikom oficyny, stajnie i dziedzieniec, a sam wraz ze swymi ludźmi schronił się do dworca. Chorągiew Lichtensteina, z głośnym okrzykiem zwycięztwa, jak wzburzony niczem nie powstrzymany potok, wdarła się w dziedziniec i pędem leciała ku dworowi; ale tu powitał ją grad kul, bo czeladź pana Wojciecha, zebrana teraz na małej przestrzeni, strzelała gęsto, a celnie.

Rażone ogniem i ołowiem szyki zachwiały się i cofnęły, ale wtem zagrzmiał gniewny głos komendanta:

— Pod okna! Pod ściany! Kpy jakieś! Tam wam nic nie uczynią!

Żołnierze skoczyli churmem, rzucili się do okien i drzwi, lecz z każdego okna zionął ogień, a drzwi mocne, dębowe, blachą obite, grubemi sztabami żelaza podparte, niełatwo było wysadzić. Rozpoczęło się zajadłe szturmowanie i równie wściekła obrona. W żyłach pana Wojciecha rozgrzała się stara krew rycerska, więc dwoił się i troił sędziwy starzec, sam kierował wszystkimi i wszystkiem, zawsze był tam, gdzie go najwięcej było potrzeba.

Bożena w białej, domowej szacie z ogniem w oczach i brwią namarszczoną, nie odstępowała ojca na krok, choć prosił i rozkazywał, aby się schroniła w głąb domu, a nie wystawiała na oczywiste niebezpieczeństwo.

— Tu przy was, panie ojcze, moje miejsce, nie odganiajcież mnie od swego boku — odpowiadała ciągle panienka — razem zginiemy lub zwyciężymy, ale ja was, panie ojcze, nie odstąpię.

Wobec uporczywej obrony gniew począł chwytać komendanta.

— Co zaś u starego djabła! — wrzasnął ze złością — żeby też garść marnej czeladzi miała się bronić tak długo, całej chorągwi! Dalej chłopcy! Kto pierwszy wtargnie do dworu, dostanie dziesięć dukatów.

Obietnica tak hojnej nagrody zapaliła żołnierzy nowem męztwem i zdwoiła ich siły; że jednak oknami niepodobna się było dostać, bo każdy, kto tam przestąpił, ginął od kuli lub szabli, przeto rzucano się gromadnie do drzwi; rąbano je siekierami, parto potężnemi ramiony, aż warowne podwoje chwiać się poczęły. Widząc to von Lichtenstein, zawołał do pana Siekierzyńskiego:

— Za chwilę ten niegościnny dom otworzy nam przecie swe bramy! Bierz, waszmość pan, komendę, ja będę miał co innego do roboty... Ale proszę, panie pułkowniku, niech tu żołnierze nic nie rabują, nie palą i nie mordują nikogo.

Ledwo przebrzmiały ostatnie słowa komendanta, drzwi runęły z łoskotem, a napastnicy jak fala rzucili się do środka. Skoczył i von Lichtenstein, wyprzedził wszystkich i ze szpadą do góry wzniesioną wpadł na czele kilkunastu ludzi do sali; tu otoczony dworską czeladzią stał pan Wojciech, który ze swymi powitał strzałami wbiegających.

— Żywcem brać! Żywcem brać! — krzyknął Lichtenstein i poskoczył ku staremu rycerzowi, ale w tej samej chwili Bożena z szablą w dłoni, rzuciła się pomiędzy ojca a oficera.

— Poddaj się! — zawołał komendant, wyciągając rękę do starca, ale ten wymierzywszy krucicę w głowę napastnika krzyknął:

— Giń podły najeźdzco! który spokojnych ludzi, jak zbój po nocy napadasz!

I krzycząc tak, wypalił z krucicy; von Lichtenstein przecież uchylił się zręcznie i uniknąwszy kuli jednym skokiem był przy panu Wojciechu, chcąc go rozbroić. Ale niespodzianie spotkał się z szablą Bożeny, która zakrywając sobą ojca, wymierzyła cios napastnikowi; lecz szabla trzymana słabą ręką dziewczęcia, osunęła się po ramieniu oficera, który jedną ręką pochwycił obie dłonie Bożeny, drugą odepchnął pana Wisłockiego, wołając na żołnierzy:

— Rozbroić tego starca!... Niech mu jednak włos z głowy nie spadnie!... Wszyscy odpowiadacie za niego!

Tu pan von Lichtenstein nie mięszając się już do walki, porwał Bożenę na ręce i skierował się ku drzwiom, wychodzącym na ogród; lecz nim do nich doszedł, głowa panienki opadła bezwładnie. Bożena bowiem poznawszy teraz komendanta, zawrzała gniewem i rozpaczą, uczyniła jedno nadludzkie wysilenie, pragnąc się wyrwać z rąk wroga, ale nagle w oczach jej pociemniało i zwisła zemdlona.

Ledwo oficer zniknął za drzwiami, a żołnierze jego zdążyli rozbroić i związać pana Wojciecha oraz jego czeladź, gdy z dziedzińca doszły przeraźliwe krzyki, tętent koni, a trąbki gwałtownie zagrały do odwrotu. Kto żyw wypadał przede dwór i leciał do szeregu, a tam już w bramie szyki Lichtensteina ścierały się z jakiemś wojskiem, idącem jak burza, które wbiegłszy na dziedzieniec, wydało okrzyk do grzmotu podobny.

— Hołubek! Hołubek! W pień psubratów!

Okrzyk ten drzeniem przejął austryackich żołnierzy, bo poznali z kim mają do czynienia; na jedno mgnienie oka zawahali się, ale wtem pojawił się na ich czele pan Marek Siekierzyński, jeden z najodważniejszych oficerów w obozie arcyksięcia, i krzyknąwszy:

— Za mną dzieci! Naprzód! — pierwszy skoczył na Hołubkowych.

— Niech żyje pułkownik! — zawrzaśli żołnierze, jak jeden człowiek, i z wściekłością rzucili się na przeciwników.

Dwa szeregi piersi uderzyły na siebie z niezmierną siłą i nuż się przepierać, mocować z sobą, łamać wzajemnie, ale bezskutecznie; górnicy i ochotnicy Hołubkowi szli z taką furyą, że choć każdy z nich miał czterech austryackich żołnierzy na siebie, przecie nie ustępował, nie cofał się, ale darł się naprzód, za swoim wodzem ukochanym, który na kształt płomienia przelatywał z jednego końca szeregu w drugi, usiłując koniecznie przerwać linię nieprzyjacielską i dostać się do dworu.

Ale walka była nierówna, bo Gabryel miał tylko przy sobie trzystu żołnierzy; dwieście zaś pod wodzą Antka Szypełki, który dosłużył się już stopnia porucznika, skoczyło ku fosie, aby otoczywszy ją dokoła jak pierścieniem, napaść nieprzyjaciela z tyłu dworca, jeżeliby się i tam znajdował, a przy tem nie wypuścić żywego ducha, iżby nie miał kto sprowadzić pomocy wrogowi. Szypełka, na czele swoich ludzi okrążał ostróżnie zabudowania, rozglądając się dokoła, czy nie dojrzy gdzie Austryaków, ale wnet spostrzegł, że cała chorągiew walczy w dziedzińcu, a tyły zabudowań i ogrody są wolne. Tylko gdy za chmur gwałtownym wichrem gnanych, wyjrzał na chwilę księżyc, ujrzał Antek ciemną, nieruchomą masę, stojącą w końcu sadu przy głównej drodze, ponieważ jednak odległość była znaczna, a ciemna masa stała jak mur, pomyślał sobie Szypełka, że to niezawodnie jakiś budynek, może dom ogrodnika, i dalej otaczał fosę. Właśnie był na jej połowie, gdy w bladem świetle księżyca, między drzewami sadu mignęła jakaś biała postać, zdążając szybko ku owemu mniemanemu budynkowi. Antek wstrzymał żołnierzy i przeżegnał się, bo to coś białego zdawało się płynąć w powietrzu nie dotykając wcale ziemi. Gdy pan porucznik wpatrywał się ciekawie i niespokojnie w tajemniczą postać, ta doleciała do owej ciemnej masy i znikła w niej; a zaraz potem to, co Szypełka brał za domek ogrodnika, zerwało się z ziemi i z głuchym łoskotem pognało drogą ku lasowi. Antek stał przez chwilę zdumiony, aż nagle krzyknął:

— Widzieliście chłopcy? Co tu u licha było?... Złe czary, czy Lucyper we własnej osobie?

— Mnie się widzi, że to gromada jeźdźców zmyka, jakby co porwała i bała się pogoni! — zawołał jeden z żołnierzy.

— Ale coby to byli za ludzie?... Przecie nie Austryaki aby u pioruna! — wrzasnął porucznik niespokojnie.

— Wartoby pognać za nimi, panie poruczniku, bo jeszcze nam tu na kark sprowadzą jakie licho! — ozwało się kilku starszych górników.

— Ba! Pognać za nimi! A czem tu otoczymy dworzec? — wykrzyknął z rozpaczą Szypełka, gdyż czuł, że pokpił sprawę, co mu się pierwszy raz zdarzyło, więc go tem więcej korciło.

— To chyba kilkunastu niech skoczy i obaczy, gdzie się przepadli — rzekł wreszcie zły na siebie i na świat cały.

Dziesięciu żołnierzy pomknęło natychmiast za uciekającymi, ale nim przebiegli sad i dotarli do drogi, ta już była pusta i cisza panowała w około. Wrócili tedy do szeregu oznajmując, że na drodze nic nie ma, a jeżeli co było, to się pewnie schroniło do lasu, który jest tak blisko.

— Eh, to jakiś omen djabelski — mruknął pod nosem Antek i chcąc nagrodzić czas stracony, okrążał co tchu zabudowania dalej.

Tymczasem pan Marek Siekierzyński, walcząc jak lew w dziedzińcu, na czele swoich ludzi, już, już przechylał szalę zwycięstwa na swoją stronę, gdy od Rabsztyna doszły go głośne okrzyki, ozwały się trąbki i bębny i dwie chorągwie świeżego żołnierza, pod wodzą starego Semena, przyszły na pomoc Gabryelowi. W jednej chwili zmieniła się postać rzeczy; pan Marek ze zwycięscy stał się zwyciężonym; ruchoma fala zuchów Hołubkowych pokryła austryackich żołnierzy, którzy widząc przemagające

siły, zaczęli się ratować ucieczką przez dwór i ogrody; ale tam wokoło fosy stał już Antek Szypełka ze swymi towarzyszami i łapał każdego, kto się ukazał; ani jeden żołnierz nie uszedł z pod jego ręki.

A na dziedzińcu zamkowym Gabryel ze świeżo nadciągnionymi docinał resztek Lichtensteinowego wojska; najdłużej bronił się piękny pułkownik, ale i ten wreszcie uległ, padając przeszyty kulą.

Hołubek pierwszy wpadł do dworu, za nim sypali się górnicy, rozkazując rozwiązać czeladź pana Wojciecha, sam własną ręką przeciął więzy sędziwego rycerza; ten uczuwszy się wolnym, potoczył dokoła błędnym wzrokiem i wyciągając ręce do młodego bohatera, zawołał:

— Zacny młodzieńcze! Ktokolwiek jesteś ratuj, ratuj moje jedyne dziecko! Zaklinam cię, na miłość Bożą i zbawienie duszy!

— Gdzie jest?... Gdzie córka waszej miłości?... — wołał Gabryel niespokojnie.

— Porwał ją jakiś świetny oficer, zdaje się dowódzca tej zgrai — rzekł z jękiem pan Wisłocki — temi tam oto drzwiami uniósł nieszczęśliwą... Ach! ratuj! ratuj ją!

Młody górnik wydał okrzyk rozpaczy i wściekłości.

— Semen! Semen! Bywaj tu waść natychmiast! — krzyknął zmienionym głosem, a gdy stary wpadł piorunem do sali, w kilku słowach wydał mu rozkazy, co ma czynić dalej, sam zaś skrzyknąwszy do siebie z dwudziestu, co najodważniejszych żołnierzy, wypadł z nimi na dziedziniec; tu dosiadłszy koni, rzucili się ku bramie, a skręcając tuż około oficyn, puścili się przez ogród i fosę do sadu. Antek Szypełka, ujrzawszy dowódzcę pędzącego na oślep, zbliżył się szybko do niego, a zapytany, czy tędy kto nie uchodził, opowiedział co zaszło niezbyt dawno; gdy wspomniał o białej postaci, o uciekającej ciemnej masie, Gabryel wykrzyknął:

— To ona!... to panna Wisłocka!... Za mną! za mną! — i jak szalony pognał drogą do lasu, a za nim pędziło co koń wyskoczy dwudziestu wiernych górników.

Stary las szumiał posępnie, gwałtowny wicher wyjąc wśród potężnych konarów, głuszył wszelkie inne odgłosy; po rozmiękłej od deszczu drodze, toczyła się cicho lecz szybko, ozdobna kolasa, otoczona trzydziestu do czterdziestu jeźdźcami.

Przejechawszy spory kawał lasu, wytoczył się orszak na odkrytą halinę, jasno promieniami księżyca oświeconą, bo wiatr rozegnał chmury; przez duże okna kolasy wpadało drżące światło miesiąca i oświecało białą postać niewieścią, z cudnymi rysami twarzy, z zamkniętemi oczyma, podobniejszą do ślicznego posągu, niż do żywej istoty. Von Lichtenstein złożywszy Bożenę na poduszkach pochylił się nad jej śmiertelnie bladą twarzą i z trwogą wpatrywał się w zemdloną.

— Nie chciałem uczynić jej nic złego — szepnął niespokojnie.

— Jaka ona blada... nie umarła przecie!... Wszystko uczynię, co zechce, byle tylko żyła... biedne dziecko!...

Drżącą ręką otworzył okno i świeże powietrze owiało zemdloną panienkę; potem wydobył trzeźwiące zapachy, którymi wnet ocucił Bożenę. Otworzywszy oczy, spojrzała do koła wylęknionym i nieprzytomnym wzrokiem, ale ujrzawszy oficera, oprzytomniała natychmiast, zerwała się z poduszek i chciała wyskoczyć z kolasy, lecz von Lichtenstein przytrzymał ją przestraszony.

— Co chcesz uczynić, waćpanna? — zawołał drżącym lekko głosem. — Czy spodziewasz się, że porwawszy cię z takim trudem, puszczę teraz?

— A co waćpan chcesz uczynić ze mną? — spytała panna Wisłocka wyniośle. — Czy myślisz, że będę po dobrej woli twoją niewolnicą? Wolę umrzeć...

— Nie unoś się waćpanna, proszę — przerwał łagodnie komendant — ja nie chcę twej krzywdy. Jestem szlachcic, bogaty, wolny, poślubię cię natychmiast, gdy w spokojnem, bezpiecznem

miejscu staniemy... Będziesz całe życie gorąco kochaną, szanowaną, przebłagam twego sędziwego ojca i... będziemy szczęśliwi.

Nastała chwila milczenia, Bożena odją do małżeństwa? Czy to tak czyni prawy rycerz i szlachcic? Ale możesz waszmość wszystko jeszcze naprawić... Oto rozkaż wrócić do Wisłocka i oddaj mię ojcu!



WIERNY STRÓŻ. (Obacz objaśnienia rycin na str. 288).

wróciła się od Lichtensteina, lecz po krótkim namyśle, patrząc mu w oczy, rzekła:

— Mówiłeś waćpan, żeś szlachcic! Czyż to przystoi szlachcicowi, rycerzowi napadać dom niewinnych ludzi, rozlewać krew, porywać dziewicę i zmuszać

Tu śliczna panienka złożyła ręce i patrzała tak błagalnie, tak wymownie, że pan von Lichtenstein aż zadrzał, bo litość przejęła mu serce; spuścił więc oczy i odparł z wahaniem:

— Gdybyś nie była okazała mi ta-

kiej pogardy tam... w Olkuszu... byłbym może uczynił inaczej... Ale czybyś waćpanna oddała mi rękę, gdybym cię był o nią prosił tak, jak nakazuje stary obyczaj?

— Nie! Boś mi waćpan obcy narodowością i wiarą!

— Mylisz się, waszmość panna! Wyznaję, jako i ty, wiarę katolicką.

— Tem-ci gorzej! — zawołała porywczo panna Wisłocka, której wahania się i łagodność komendanta wróciły całą odwagę; więc postanowiła korzystać ze słabości przeciwnika i uwolnić się jak najprędzej z jego ręki, w tym celu prawiła śmiało dalej:

— Tak jest! Gorszyś, panie oficerze od heretyka, bo choć katolik i szlachcic nie wahałeś się waćpan napadać dom szlachecki w nocy jak rozbójnik, mordować niewinnych ludzi; nie wstydziłeś się wydrzeć staremu ojcu jedynej córki... I za te wszystkie niecne sprawki, jako nagrody żądasz mej ręki? Wolę tysiąc razy umrzeć jak waćpana poślubić!... To moje ostatnie słowo!... A teraz każ waszmość nawrócić i odwieść mnie do ojca, bo ja nigdy...

Nienaturalny śmiech Lichtensteina przerwał perorę Bożeny, która dopiero teraz spojrzawszy uważniej na młodego oficera, spostrzegła nagłą zmianę w jego twarzy. Zamiast poprzedniego wzruszenia i dobroci, malował się na niej gniew, oczy błyszczały złowrogo, usta drżały mu nerwowo, gdy się odezwał przyduszonym głosem:

— A jednak będziesz żyła... dumna panno!... I zostaniesz moją żoną, z wolą czy bez woli!...

— Nigdy! Przenigdy! — zawołało niebaczne dziewczę, bo ją gniewał zawód, jakiego doznała, licząc na łagodność Lichtensteina! — Nie będę twoją żoną! Gardzę waćpanem! nienawidzę cię, boś wróg mej ziemi, boś...

— A... przestań!... milcz!... bym nie uczynił coś takiego, czegobym później żałował — syknął komendant tak zmienionym, strasznym głosem, że biedna Bożena śmiertelnie się przeraziła, widząc jakie niebezpieczeństwo nierozważnie sprowadziła na swoją głowę.

Pan von Lichtenstein blady, z pałającemi oczyma, zbliżył się do drżącego dziewczęcia i już usta otwierał, chcąc dalej coś mówić, lecz w tem wstrzymał się nagle, bo pośród jego żołnierzy powstała jakaś wrzawa, ozwały się strzały i złowrogi okrzyk wstrząsnął powietrzem:

— Hołubek! Hołubek! W pień psubratów!

Odważny komendat chwycił jedną ręką Bożenę, drugą otworzył drzwiczki kolasy i w tej samej chwili już siedział z panienką na koniu, którego prowadzono tuż przy powozie. A krzyknąłszy gromkiem głosem:

— Trzydziestu ludzi zatarasować drogę i raczej poledz, a nie puścić pogoni!... reszta zaś za mną! — i jak strzała pomknął w małej gromadzce jeźdźców w las, który był tuż, bo rozległa halizna właśnie się skończyła.

Bożena próbowała zerwać się z konia, lecz ramię Lichtensteina opasowało ją jak żelazna obręcz; więc wzniósłszy oczy i ręce do nieba, wołała rozdzierającym głosem:

— Boże ratuj! ratuj! ratuj mnie!

Ale wtem ujrzała, że pogoń została daleko z tyłu, bijąc się z pozostałymi ludźmi komendanta; a prześladowca jej wpadł do lasu i rwał naprzód jak upiór aż wicher świszczał w uszach i oddech tamował. Więc z rozpaczliwym jękiem opuściła ręce i głowę i drugi raz zemdlała.

Gdy znowu otworzyła oczy, ujrzała się napowrót w kolasie, od której drzwi były szeroko otwarte; na stopniu zaś stał mąż zbrojny, Bożena poznała w nim Hołubka!

— Boże! — wykrzykła ucieszona. — Gdzież ja jestem? Czy to rzeczywiście waćpan, panie Gabryelu, tu stoisz?

Płomienie przeleciały po twarzy młodego bohatera, ale wnet zgasły, ustępując miejsca bladości.

— Tak jest, mościa panno! — rzekł. Jesteś wolna i zaraz wracamy do Wisłocka.

— I to waćpan wyrwałeś mię z rąk tego Niemca? Ale nie wróci on tu znowu? Na Boga! uciekajmy.

Hołubek uspokoił kilku słowy strwożoną panienkę i rozkazawszy zawrócić, podążył spiesznie wraz z nią i swymi ludźmi z powrotem do Wisłocka. Po drodze zaś opowiadał Bożenie, jak rozdzieliwszy swych towarzyszy, jednej połowie rozkazał ucierać się z żołnierzami Lichtensteina, zastępującymi drogę, a z drugą połową pomknął za komendantem, który bronił się zaciekle i dopiero wtedy puścił swoję brankę, gdy pod nim dwa konie ubito, jego zaś samego rannego i bezprzytomnego unieśli żołnierze.

— Ja też wyzwoliwszy waszmość pannę — kończył Hołubek swoje opowiadanie — nie ścigałem uchodzącego, bo nie miałem czasu; czemprędzej mi się trzeba połączyć ze swymi. Ale waćpanna bądź spokojna; von Lichtenstein już nie wróci i gonić nas nikt nie będzie, bo komendant nie może, a ludzi jest przy nim bodaj dziesięciu.

Bożena słuchając z zajęciem młodzieńca, ani się spostrzegła, gdy stanęli w Wisłocku. Gabryel zaś odprowadziwszy ją do bramy, zaczął się zaraz żegnać, a gdy panienka prosiła, aby wstąpił do dworu, iżby uradowany ojciec mógł podziękować jej zbawcy, dziwny blask rozjaśnił szlachetną twarz bohatera, który rzekł poważnie:

— Dziś wstąpić nie mogę, bo ważną mam drogę przed sobą, a nieprzyjaciel blisko; ale może przyjdzie dzień, w którym upomnę się o zapłatę za dzisiejszą usługę.

— Daj Boże, abyśmy wypłacić się mogli waćpanu równie ważną przysługą — odparła Bożena wzruszona, ze ślicznym rumieńcem na twarzy i rękę podała Gabryelowi.

Ten skwapliwie do ust ją przycisnął, lecz nagle wstrząsnął się, rękę szybko puścił, skłonił się nisko, spiął konia ostrogą, i jakby chciał uciec czemprędzej, galopem pomknął ku chorągwiom, oczekującym wodza na skraju lasu.

Ponieważ szary świt rozjaśniał już ciemności nocy, przeto zapóźno teraz było na wycieczkę do Krakowa. Hołubek musiał czekać następnej nocy, a tymczasem postanowił schronić się do Rabsztyna, gdyż obawiał się pogoni, bo mu doniesiono, że z drugiej strony Wisłocka, stoi w lesie kilka oddziałów austryackiego wojska.

Naprzeciw młodego wodza wyjechał Semen i jadąc z Gabryelem na czele chorągwi, zdawał mu sprawę z przebiegu walki: opowiedziawszy więc, że niemal cała chorągiew nieprzyjacielska została wyciętą, oprócz kilkudziesięciu rannych, których pan Wisłocki kazał umieścić we dworze i w oficynach i opatrzyć starannie, rzekł na końcu:

— Ale nie uwierzysz, waszmość panie komendancie, kogo też znalazłem między rannymi?! Sam go dźwigałem do dworu boć to mój stary znajomy i... Ale czybyś też waszmość odgadł?

— Z pewnością nie! Zawsze miałem słabą głowę do zagadek — odparł z uśmiechem Gabryel i dodał — No, proszę i kogoż to waść znalazłeś? Jeźli wolno wiedzieć.

— Pana Marka Siekierzyńskiego!

Hołubek wstrzymał konia.

— Nie może być! Zkądby... on tu? — zawołał zdziwiony.

— Łatwe to do wytłómaczenia. Widocznie po śmierci ś. p. Gorajskiej wpadł w sieci panów Zborowskich, którzy go dawno chcieli ułowić. I dziś z tymi zdrajcami staje przeciw naszemu panu miłościwemu i Ojczyźnie.

— Niewątpliwie tak jest, jak waćpan mówisz — rzekł w zamyśleniu Hołubek — Szkoda go!... Bo to pono niezły człowiek, jeno przez burzycieli uwiedziony.

— Może też w zacnym domu pana Wisłockiego przyjdzie na pana Marka upamiętanie...

— Dajże tak Boże. Ale... mój mości panie Semenie, przed moją panią siostrą, widzi mi się, że lepiej będzie zamilczeć o panu Siekierzyńskiem. Możeby panią rotmistrzową trwożyła myśl, że pan Marek tak blisko.



KTO TO? (Obacz objaśnienia rycin na str. 288).

— Pewnie, żeby tak było. I mnie się widzi, że najlepiej zamilczeć.

Dzień, jaki po tej krwawej nocy nastał, był jeden z najszczęśliwszych w życiu Gabryela i Ludmiły. Pani Adamowa, powitawszy brata żywym i zdrowym i dowiedziawszy się z wielką radością o skutecznej jego pomocy, już na krok nie odstępowała Gabryela, nie mogąc mu się dosyć nacieszyć, dość naopowiadać, a mianowicie dość nasłuchać jego opowiadania o błyskawicznych pochodach, podejściach, o zaciętych walkach i zwycięstwach świetnych, o szkodach i stratach, jakie zadały Hołubkowe oddziały wojskom Maksymiliana.

Rozmowie tej przysłuchiwała się z kącika Maryśka, przyglądając się z uwielbieniem sławnemu wodzowi ochotników; wydał on się tej prostej dzieweczce uosobieniem wszelkiej cnoty i doskonałości, bohaterem nad bohaterami, na którego ledwo się godziło wzrok podnieść.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

GŁOS Z RUIN SZLĄSKICH.

Milczały Słowian wiece wokoło,
Ale kamienie mówiły:
»Zepchnij sen z powiek, wznieś chmurne czoło,
Piastowy synu przemiły!

Jak rugijskiego niegdyś ołtarza,
Jak świętość połabskiej mowy,
Tak i twą świętość obcy znieważa,
W proch depce, synu Piastowy!

Słowo ci paczą, wiarę ci kruszą
Niemych przychodniów przymioty:
»Giń!« dają znaki »lub uchodź z duszą,
Rękę wyciągaj pod wroty!«

Twa święta ziemia, twa wiara, mowa,
Toć twój dobytek wiekowy!...«
Milczały wiece — kamień miał słowa:
Budzi się naród Piastowy.

O DAWNEJ POBOŻNOŚCI W POLSCE.

(Dokończenie.)

Gorliwymi też obrońcami byli przodkowie nasi wiary świętej; umierając, zalecali synom swoim być jej wiernymi stróżami. Tak Jakób Sobieski kasztelan krakowski, ojciec Jana III-go dzielnego króla Polskiego, w testamencie temi słowy włożył ten obowiązek na dzieci swoje:

Potomstwo moje z urzędu mego obowięzuję i napominam, aby wiary i kościoła katolickiego rzymskiego i jego wolności, prerogatyw i honoru duchowieństwa, ile się poda okazya, radą, mową i ręką bronili.

Z poddaniem przodkowie nasi przyjmowali od Boga wszystko, czem ich tylko udarować raczył: z umiarkowaniem szczęście, troski z uległością, z pokorą upadek, bez dumy wyniosłość. Dowód ich wiary w wyroki Opatrzności i w pomoc niebieską zostawiły nam słowa Zygmunta I, dzielnego króla i gorliwego chrześcianina wyrażone w mowie do syna:

»Nietajno jest synu mój, wyrzekł on, z jaką sławą tak długo panowałem. To wszystko Bogu Najwyższemu, któremu pilnie służyłem, zawdzięczam. Powinieneś temu wierzyć, że ani panowie, ani jakie szczęście może być wcale, gdzie wiara upada albo słabieje.«

Również praojcowie nasi jako i prababki dbałymi byli o ozdobę świątyń Pańskich; tak Leon Sapieha wojewoda Wileński i hetman, gdy spostrzegł gdziekolwiek podartą albę, albo ornat na księdzu, zaraz dawał mu nowe mawiając:

»Ja świeckim panem jestem krótkiego życia i honoru, a przecież ganię służeństwo moje, jeżeli który w oczach moich w bucie szpetnym stanie. Jakoż to bardziej

i niegodna rzecz jest, w oczach króla nad królami nieochędożnie się pokazać.«

Cały naród ze szczególnym zapałem modlił się do Najświętszej Panny, wyjątkowa cześć dla niej wszystkie polskie ożywiała serca. Pieśni na jej cześć składane z dnia brzaskiem, codziennie wznosiły się ku niebiosom i w dalekie strony ulatywały po kroplistej rosie. Z pieśnią Boga Rodzica szło polskie rycerstwo do walki, z nieomylną nadzieją zwycięzcięztwa. Sławni wodzowie jakimi byli: Chodkiewicz, Żółkiewski, Stefan Czarniecki i inni, z cudowną pieśnią na ustach wiedli szyki do bitwy. Przy każdym obozie obrazek tej opiekunki narodu polskiego znajdować się musiał. Ze świętym obrazem szedł król Jan Sobieski pod Wiedeń na poskromienie hardego bisurmanina.

Dawni Polacy zwiedzali miejsca słynne cudami, jakoto: Częstochowę, Sokal, Leżajsk, Skąpe, Gidle, szły doń pobożne panie we włosiennicach, z krzyżem na ramionach, krwawiąc bose nogi ostrymi kamieniami. Odbywano pielgrzymki do Rzymu, Hiszpanii i Jerozolimy: z kijem w ręku jako ubogi żebrak, szedł w pobożnej pielgrzymce Stanisław Kostka. Bolesław Krzywousty pielgrzymował do grobu świętego Idziego, św. Wojciecha w Gnieźnie i św. Stefana w Węgrzech, Przemysław książę Raciborski co rok z zamku swego do klasztoru Dominikanów w Raciborzu, niosąc w ofierze świętemu Stanisławowi świecę woskową tak dużą, iż ją zaledwie mógł udźwignąć. Mikołaj Krzysztof Radziwiłł pielgrzymował do Jerozolimy z księdzem Leonardem Pacyfikiem i dwunastu osobami dworu swojego. W taki to sposób dawni Polacy szukali odpustów w popełnionych grzechach, lub błagali o łaski. Naprzeciw pobożnych pielgrzymów po drodze wybiegali mieszkańcy okolic przebywanych i zapraszali ich do domów swoich i kościołów. Przybywszy zaś pobożni na miejsca święte, na kolanach obchody jego czynili.

Posty ściśle przestrzegano w Środy, Piątki i Soboty. W Sobotę post zachowywano największy, raz na dzień suchy chleb nieco skropiony piwem pożywano; Piątki zaś suszono, wstrzymując się od picia wina. Byli i tacy, co całe życie mięsa nie jadali, poprzestając na maślnych potrawach i rybach. Za napój w czasie dni postnych używano przegotowanej wody. Post zaś od chleba popiołem święconym posypanym zaczynano. Dzieciom lat 7 mającym z nabiałem w dnie postne jeść nie dozwalano i karcono w nich surowo wszelkie przekroczenia praw Boskich. Gdy Erazm Ciołek biskup Płocki przywiózł z Rzymu pozwolenie jadania mięsiw we Środę, w całej Polsce nikt się nie znalazł, by z tego pozwolenia korzystał. Chłopi również gorliwi byli w służbie Bożej. O mil parę nieraz chodzić musiał do kościoła, a niczem się nie dał odwieść wieśniak, by we święto nie słuchał Mszy świętej. We wilią Bożego Narodzenia nic nie pożywał, aż po zobaczeniu gwiazdki na niebie. Posty zachowywał ściśle, modlitwami oddawał się w opiekę Świętych Pańskich. Pościł i modlił się do św. Mikołaja, Jacka, Stanisława, Rocha, Apolonii. W morowem powietrzu uciekał do św. Sebastyana, w nędzy do Jana Jałmużnika, oddawał się nadto opiece Najśw. Panny, ofiarowywał świece do ołtarzów i lampki, z pokorą i skruchą serdeczną uczęszczał do licznych kaplic.

NIETOPERZE.

(Dokończenie).

Aby się mocniej utrzymać, wybierają miejsca ciała obszerne i gęsto włosem porosłe, ztąd zadają rany koniom na szyi, na kłębie i przy nasadzie ogona, mułom na szyi i na kłębie, wołom na łopatkach i na podgardlu.

Ranka ta nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa; lecz ponieważ w ciągu jednej nocy czasem cztery, pięć, sześć lub więcej nietoperzy jedno bydlę opadnie, co się przez kilka nocy z rzędu powtarza, zatem upływ krwi mocno osłabia zwierzęta, tem więcej, że oprócz krwi wyssanej, wysączy się jej jeszcze z parę uncyi. Często też muchy składają jaja w rankach, i wtedy tworzą się w nich wrzody. W nowszych czasach niemiecki podróżnik Burmeister podziela to mniemanie i nie uznaje wcale szkodliwości wampira. Owe okrzyczane pijące krew upiory, którym bezpodstawnie tyle złego przypisywano, znajdują się prawie wszędzie w Brazylii i codziennie zdradzają swoją obecność kąsaniem wierzchowych i jucznych koni, lecz rzadko stają się z tego powodu przyczyną strat lub szkody, ponieważ ilość krwi tym sposobem zwierzętom upuszczonej, jest bardzo mała. Szczególnie w chłodnej porze roku, gdy owadów nie ma, często się dają widzieć ukąszenia i to zwykle na miejscach gdzie sierć tworzy wichry, ponieważ tam najłatwiej nietoperzom dobrać się do gołej skóry. Dopóki koń lub osioł nie śpi, nie dopuści do siebie nietoperza; niepokoi się, kopie nogami, otrząsa się i odstrasza kręcącego się koło siebie wroga; jedynie śpiące zwierzęta dają sobie ssać krew. Bajką jest, że nietoperze wachlują skrzydłami. Niekiedy ludziom pilnującym bydląt udaje się schwytać nietoperza, tak są one zapamiętałe w swej napaści. O ukąszeniach ludzi przez nietoperze nie wiem nic pewnego, nie spotkałem nikogo ktoby uległ ukąszeniu. Nie można też nic pewnego wyrzec o sposobie, w jaki nietoperz kąsa. Wiadomo tylko, że siada z nawpół rozpostartemi skrzydłami, rozdziela włosy, przyciska mocno swój brodawkowaty podbródek i zaczyna ssać. Rana przedstawia płytki dołek nie podobny zupełnie do kłótej rany. Mniemam że otwór wtedy dopiero staje się widocznym, gdy nietoperz wyciągnął nieco do góry miejsce na skórze i odcina jej koniec ostremi siecznemi średniemi zębami górnej szczęki, ponieważ kły zupełnie do tego się nie nadają. Następujące potem krwawienie nigdy nie bywa silne; nie słyszałem nigdy, aby zwierzę padło z upływu krwi. Osłabienie może wprawdzie nastąpić, jeśli ukąszenia często się powtarzają, zwłaszcza że w chłodnej porze roku paszy bywa zazwyczaj mało. Lecz śmierć nie następuje nigdy z tego powodu, chyba raczej z nadmiernego obładowania zwierzęcia przez właściciela, co prawdopodobnie spowodowałoby śmierć nawet bez przyczynienia się utraty krwi.

Inny badacz tak tę rzecz opisuje: »Wampiry trzymają się w pobliżu zagród do których zapędzane jest na pół dzikie bydło, zanim zostanie wybite w celu przygotowania suszonego mięsa i przez ten czas całe dnie spędzać musi bez wody i pożywienia. Podchodząc około północy przy blasku księżyca do takiej zagrody, można ujrzeć znaczną liczbę tych wielkich nietoperzy uwijających się koło bydła, które żadnej nie okazuje przed nimi obawy. Często siadają na karkach zwierząt jakby szukały owadów. Na następny dzień oglądałem też same bydlęta, lecz nigdy śladu krwi nie znalazłem. Później, w pośród bujnej, podzwrotnikowej roślinności, zamieszkiwałem w domu zbudowanym mocno, podług miejscowego zwyczaju i miałem zręczność czynić dokładne spostrzeżenia nad gatunkami małych wampirów. Do tych spostrzeżeń służyła mi starannie otynkowana izba, której drzwi i okna szczelnie się zamykały. Otwarte okno było opatrzone drucianą siatką o szerokich oczach, przepuszczającą swobodnie owady. U pułapu było zawieszone dojrzałe grono Camburitu. Do tej izby wpuszczano z kolei małpy, aguti, młode świnki pekari, psy, leniwce, mrówkojady i t. d., a także i ptaki. Listkonosych nietoperzy trzymałem w tej izbie tylko trzy, obawiając się aby większa ich liczba, latając w nocy, nie niepokoiła zamkniętych tam zwierząt i nie wyrządziła sobie i im szkody. Okratowane okno pozostawało w dzień i w nocy otwarte,



NUBIJKA. (Obacz objaśnienia rycin na str. 288.)

a wyziewy zwierząt ściągały mnóstwo owadów. Dopóki tylko były owoce u pułapu, owady zaś miały wolny dostęp, nietoperze żywiły się tym tylko pokarmem. Lecz skoro okiennice zostały zamknięte i dostęp owadom wzbroniony, znajdowałem nazajutrz kilka ptaków martwych w skutek wyssania krwi; na następny dzień ptaki zostały pożarte. Dopiero po trzeciej i czwartej nocy ukazały się ślady krwi na zwierzętach ssących, lecz ta klęska spotykała zawsze najsłabsze, najbezbronniejsze, nigdy zaś silniejszych leniwców i mrówkojadów. Rany zwykle krótko krwawiły i zwierzęta nie wydawały się bardzo osłabione. Przytem nietoperze, opiwszy się krwi, nie długo żyły; do skrócenia ich życia przyczyniła się prawdopodobnie nagła zmiana pożywienia: pokarm wyłącznie składający się z krwi i brak ruchu. Na podstawie tych doświadczeń, utrzymuję wraz z innymi, że przyrodzone pożywienie listkonosych nietoperzy w pierwszym rzędzie składa się z owadów, w drugim z owoców, a tylko w zupełnym ich braku, ze krwi innych zwierząt«.

Należy tu dodać, że wszystkie w południowej Ameryce mieszkające nietoperze listkonose (wampiry) są, podobnie jak i właściwe nietoperze (gładkonose) pozbawione ogona; niektóre zaś posiadają krótszy lub dłuższy ogon. Sposób ich życia jest takiż sam jak i wyżej opisanego.

POST W EGIPCIE.

Post jest urządzeniem boskiem. Dowodem tego jest, że od najdawniejszych czasów z każdą religią były połączone posty. Religie protestanckie odrzuciły posty, ponieważ działały na przekór kościołowi katolickiemu, od którego odpadły i ponieważ schlebiając słabościom ludzkim chciały sobie zjednać i zjednały zwolenników. Religie protestanckie są łatwe i wygodne. Zresztą posty były i są w starożytności i w nowszych czasach, na wschodzie i na zachodzie. Celem postu jest przypomnieć sobie, że duch powinien panować nad ciałem, ułatwić duchowi panowanie nad ciałem; przypomnieć sobie, że człowiek koniec końcem jest przeznaczony do istnienia nadziemskiego, że tylko krótki czas przebywa na ziemi.

Żydzi obchodzą ku temu celowi wielkie święto pojednania w dziesiątym dniu miesiąca Tischri, długi dzień albo długą noc. Pobożni żydzi przepędzają dzień i noc w synagodze głośno się modląc, płacząc i lamentując. Mahometanie poszczą dziewiąty miesiąc, Ramadan, który liczy 29 dni. Mahometanie, Turcy poszczą bardzo ściśle. Nic nie jedzą ani nie piją. Nawet nie palą fajki, co niejednemu trudniej przychodzi aniżeli nie jeść. Wielu nawet nie kąpie się, co też u nich należy do życia, aby jaka kropla wody przez skórę nie dostała się do ich ciała. O niektórych bardzo pobożnych opowiadają, że nawet nie połykają swej własnej śliny. Post jednak trwa codziennie od wschodu do zachodu słońca. Kiedy słońce zajdzie i kiedy z fortecy w Kairze, mieście stołecznem Egiptu, dadzą znak z armaty, wtenczas naraz wszystko się zmienia, z cichych i poważnych pokutników stają się weseli ludzie. Kiedy przez dzień odmawiano sobie wszystkiego, teraz wszystkiego używają, panuje radość, wesele i uciecha.

Najtrudniejszy jest post w Egipcie, kiedy Ramadan przypada w gorący czas, bo wtenczas i noce są tak gorące, że człowiek ledwo żyje. Czasem Ramadan przypada w nasz miesiąc Maj, ciepło dochodzi do 40 stopni i więcej.

Taki Ramadan opisuje pewien podróżny:

Wyszliśmy krótko po zachodzie słońca z naszego mieszkania i od razu stanęliśmy pomiędzy tłumem ludzi, ktorzy hałaśliwie i gwarno zdążali w pewną stronę. Wnet doszliśmy do małego placu, przy którym był pochowany jakiś święty, ponieważ znajdowała się tam mała moszea, czyli świątynia mahometańska. Dziś jednak na placu był istny jarmark. Buda stała przy budzie. Wszędzie nosowym tonem polecano łakocie i słodycze wschodnie, lokum ciągnące się jak guma, cukier w postaci srebrnych nitek miodem sycony. Przed niektóremi budami smaży się i praży, woń tłuszczu bucha z garnków tak, że się przybliżyć nie można. Kobiety i dzieci niższych stanów dziwnie ubrane krzyczą postępując za muzykantami w maskach z piszczałkami, bębnami i bębenkami; błazny i podobni sztukmistrze pobudzają ciągle lud do śmiechu; karusele najdziwniejszego rodzaju obracają się przy odgłosie zepsutych katarynek. Jednem słowem nie do wytrzymania dla oka, uszu i nosa. Trzeba iść dalej. Widzimy kupę ludzi pod krzakiem róż słuchającą opowiadania wędrownego opowiadacza, który im prawi o sułtanie Mameluków, który wyrwał chrześcianom Jerozolimę, a potem łagodnie panował. Naturalnie, że opowiadacz nie troszczy się o to jak było rzeczywiście, lecz z bujnej wyobraźni skreśla słuchaczom niestworzone rzeczy żywo ruszając twarzą i ciałem. Tysiąc razy opowiadał to samo ludowi, lecz zawsze wszyscy go słuchają ze zajęciem i nabożeństwem, zawsze w końcu głośno okazują swe zadowolenie. Dalej widzimy kawiarnią arabską. Przed nią na ławeczkach palmą wyplatanych postacie brunatne, brodate wciągają w siebie ostry dym palącego się opium grając w karty lub szachy. Ciszę, która tu panuje przerywa tylko jeden z tych, którzy roznoszą słodką wodę w olbrzymiej flaszce na plecach. Zgłasza się przez to, że uderza jedno płaskie naczynie do picia o drugie. Bogaci Mahometanie szukając drażniącej zabawy idą do jakiego publicznego lokalu, gdzie albo w karty grają albo patrzą na kurczowe ruchy ciała egipskiej tancerki. Niemiło na to patrzeć Europejczykowi. Tancerka stoi n. p. cicho i tylko brzuchem rusza, rękami macha. Dziwna gimnastyka.

Kiedy bogaty Turek pożył po zachodzie słońca wspaniałą ucztę i napił się wina, choć mu religia takowego zakazuje, to wynagradza sobie post jeszcze grzeszną nocną hulanką, do jakiej wielkie miasta dają sposobność. Dopiero kiedy przy wschodzie słońca odezwie się strzał armatni, Turek idzie do domu pościć, zamyka się, rozkłada się na miękkim dywanie, zasłania okna, śpi i marzy przez cały dzień, a wieczorem i nocą znowu hula.

W czasie Ramadana mało co pracują w domu i publicznie, bo post tak zmęczy, że pracować nie można.

Najważniejszą nocą w całym miesiącu jest 27ma noc, noc godności zwana, na pamiątkę, że w niej otrzymał prorok Mahomet koran (pismo św.) wprost z nieba. Turek mniema, że modlitwy tej nocy wysłuchuje z pewnością Ałłah (Bóg), i że Aniołowie zstępują na ziemię, aby przyjmować ich prośby i nieść takowe do Boga. W tej nocy poszliśmy do najgłówniejszej i najwspanialszej świątyni tureckiej, aby słyszeć wyjących derwiszów (kapłanów). W Kairze jest 400 świątyń. Wszystkie przedstawiają się już na zewnątrz przepysznie każdej nocy Ramadanu. Na najwyższym szczycie wieży (minaretu) są rusztowania z drzewa, a na nich pełno lamp i latarni, których światła współzawodniczą z blaskiem gwiazd na firmamencie. Na gołych świątyniach bez okien są też drewniane rusztowania różnych kształtów, na których świecą się lampy i latarnie bez liku. Niewysłowienie pięknym jest widok głównej moszei (świątyni) wewnątrz. U góry są koła z nieprzeliczonych lamp, które razem z kosztownymi świecznikami przedstawiają się jakoby świątły firmament niebieski, bo reszta świątyń jest ciemna. Jeszcze panuje cisza, nie słychać ani organów, ani modliwy, ani śpiewu, ani żadnego

kapłana. Derwisze siedzą na ziemi na kosztownych kobiercach otoczeni ludem milczącym, który z uszanowaniem ledwo śmie oddychać. Teraz powstaje przewodniczący (szeik) postać brodata, opalona z oczami lśniącemi i zaczyna powoli i uroczyście wyznanie wiary mahometańskie: nie masz Boga nad Boga, a Mahomet jest jego prorokiem. Powwstają i derwisze i powtarzają to zdanie coraz szybciej i wściekłej przeginając ciało wtył i naprzód. Włosy rozpuszczone latają około głów. W końcu nie słyszy się nic więcej jak hu, hu, hu, aż ten i ów derwisz upada w kurczach na ziemię z białą pianą na ustach. Turcy uważają, że duch boży go dotknął i wielbią Boga.

Zwiedziliśmy główne ulice, które były wszystkie pięknie oświetlone, napełnione ludem uroczyście usposobionym. Nigdzie śladu postu, lecz też nigdzie śladu fanatyzmu. Egipcyanin jest wyrozumiałym dla innowierców. Persowie modlą się u nich na najświętszych miejscach. Czasami tylko wybucha fanatyzm mahometański. Biada temu kto obrazi uczucia religijne mahometan!

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Wierny stróż. Wierność psa jest tak znaną, że nawet przysłowia ją opiewają. Na rycinie widzimy psa starego, który z podziwienia godną cierpliwością i wytrwałością pilnuje dziecka swych chlebodawców. Poznać można, że to już dość stary brytan, który zestarzał się na wiernej służbie u swego pana. Zasłużył też sobie rzetelnie na łaskawy chleb.

Nubijka. Nubia leży w Afryce, w części północno-wschodniej. Politycznie złączona jest z Egiptem. W środku przepływa Nil a po obu stronach otoczona jest puszczami. Obszar Nubii wynosi 743 tysiące kwadratowych kilometrów a liczba mieszkańców 1 milion przeszło. Nubijczycy pochodzą od starożytnych Etyopów. Wskazuje na to mięszana mowa w niektórych szczepach. Pewna część Nubijczyków mówi po arabsku i chwali się, że pochodzi od Arabów, choć to jest nieprawdą.

Podobnie jak Egipt stała i Nubia dawniej na wysokim stopniu kultury, na co wskazują liczne ruiny, jakie z tych czasów pozostały. Przed Chrystusem i po Chrystusie była Nubia potężnem państwem przez trzynaście wieków. Mieszkańcy przyjęli nawet religiją chrześciańską, ale nie katolicką, lecz wyznanie pewnej sekty. Około połowy czternastego wieku poczęli Arabowie coraz natarczywiej najeżdżać kraj nubijski a król począł im sprzyjać i przyjął religią mahometańską. Nubia poczęła się rozpadać i stała się powoli prowincyą arabską. Dziś należy do Egiptu, który tworzy prowincyą turecką pod zwierzchnictwem Turcyi.

Rycina nasza przedstawia Nubijkę w narodowym stroju z dzbanem na głowie. Zwyczaj noszenia dzbana na głowie do dziś się jeszcze tam zachował.

Kto to? Wiek młody — wiek swobody. Umysł nie zamącony przykrościami życia rozwija się jak roślina pod wpływem promieni słońca. Niewinna pustota jest udziałem usposobienia młodocianej istoty. Widzimy na rycinie dwa dziewczątka, towarzyszki zabaw dziecięcych. Nie spotkały się ze sobą przez dłuższą chwilę. Starsza pragnie znienacka podejść młodszą towarzyszkę. Serduszko jej puka z radosnego wzruszenia na myśl, że się jej uda podejść rówienniczkę. Zbliża się zatem z największą przezornością do niczego nie domyślającego się dziewczątka, rzuca się nań z tyłu i zakrywa mu oczy. Dziewczynka tak napadnięta zlękła się w pierwszej chwili i pyta trwożliwie: kto to? odsuwając równocześnie ręce towarzyszki. Jakaż to jednak będzie radość, gdy starsza wśród nadmiaru wzruszenia odezwie się. Niejeden z osób starszych, przypatrujący się takiej scenie, pragnąłby być z pewnością dzieckiem.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

Wesołe polowanie na niedźwiedzia.

Pan Jacenty Chwaliński nieraz przy kufelku dobrego piwa opowiada swoje przygody z niedźwiedziem. Rówiennicy jego przebąkują co prawda, że rzecz miała się znacznie inaczej, ale pan Jacenty w to wierzyć nie chce i uważa wszystko inne za złośliwy wymysł, obliczony na to tylko, ażeby mu szkodzić na sławie.

Pan Jacenty opowiadał w oberzach »pod złotą gęsią«, »pod białym niedźwiedziem«, »pod czarnym tygrysem« tyle o swej odwadze, waleczności i zuchwałości, że w końcu nikt słowa mu wierzyć nie chciał. Borowy Figlarski, który nie od parady nosił swe nazwisko, postanowił w końcu odwagę pana Jacentego wypróbować.

Nagle rozchodzi się po miasteczku straszliwa wieść. W okolicy zauważono okrutnego niedźwiedzia, który szerzy popłoch ogromny. Gospodarz »pod białym niedźwiedziem» pragnie zmienić swoje godło, bo się obawia, ażeby niedźwiedź nie pragnął przypadkiem poznać się z swym bratem i w kuchni porządku zaprowadzić.

Wieści rozchodziły się coraz to potworniejsze. Kowal Pukalski dowiedział się, że niedźwiedź rozpłatał już kilka jagniąt, a majster szewski Dratwiński z boleścią opowiadał, że nieszczęście jest gorsze jeszcze, bo to nie były jagnięta, ale dzieci. Ogrodnikowi Różyckiemu znikło kilka uli z pszczołami i miodem, nikt inny się na nie nie połakomił, jak chyba jegomość miś.

Postanowiono w końcu zrobić na niedźwiedzia obławę, w której waleczny pan Jacenty miał odgrywać główną rolę. Poproszono go do tego aktu uroczyście, ale pan Jacenty nadspodziewanie wszystkich zaczął się wymawiać od zaznajomienia się z królem lasów.

Powiemy szanownym czytelnikom nawiasem, że pan Jacenty w swem życiu na własne oczy niedźwiedzia nie widział. Jego znajomość zwierząt nie sięgała po za obręb psa i kota, po którego to często zachodził do oberzy. Musimy i to na niekorzyść pana Jacentego wyznać, że nawet i kot był od niego silniejszy i nieraz zwalił go z nóg, gdy powracał z oberzy którejkolwiek do domu. Ale to tak tylko nawiasem — dość, że pan Jacenty wynajdywał powody, ażeby w polowaniu udziału nie brać. Tłómaczył się, że niedomaga na zdrowiu i lekarz radził mu, ażeby pilnował łóżka. Przykro mu bardzo, ale sławę zetknięcia się z niedźwiedziem i ubicia go pozostawia komu innemu.

Na to wystąpił borowy Figlarski i tak zaczął prosić i błagać pana Jacentego, aby gminie, która w nim największe pokłada nadzieje, nie odbierać odwagi, że pan Jacenty choć się strasznie w duszy gniewał, nie mógł jakoś zdobyć się na stanowcze odmówienie.

»Chętnie temu niecnocie skręciłbym kark, gdyby tylko cierpienie moje nie powiększyło się z każdą chwilą. Obawiam się niebezpiecznej febry, a jeśli się zaraz nie położę, z pewnością i niedźwiedzia nie zastrzelę i sam życie stracę.«

»At! cóż znowu!« wtrącił borowy, »waćpan nie powinien sobie zaraz przedstawiać podróży na drugi świat. Na świeżem powietrzu w lesie z pewnością febra minie. Podjedz waćpan sobie poprzednio dla dodania odwagi a następnie usiądź pod drzewem i czatuj na niedźwiedzia.«

Nie pozostało Jacentemu nic innego, jak wybrać się do lasu, gdzie podług rozmaitych wieści odbywał niedźwiedź drzemkę południową. Strzelcy porozchodzili się na stanowiska a pana Jacentego zaprowadził borowy w zarośla i nabił mu fuzyą prochem i . . . . puchem. Napomniał go równocześnie, aby pozwolił zbliżyć się niedźwiedziowi na dziesięć kroków a następnie z zimną krwią wypalić między łeb a ogon. Z pewnością go wtedy uśmierci na miejscu.

»Ale,« nadmienił pan Chwaliński, »powiedziałeś pan, że mnie ustawisz pod drzewem?«

»Inaczej sobie tę rzecz rozłożyłem,« była odpowiedź. »Pod drzewem ustawiam tchórzy, którzy pragną z niedźwiedziem potańczyć i poskakać trochę. Mężczyźni zaś tacy jak pan powinni odważnie spojrzeć w oczy niebezpieczeństwu.

»Ale, kochany borowy«, odrzekł odważny strzelec zajęczego serca, »cóż mam uczynić, gdy bestyą nie trafię?«

»Jakto! pan może wątpić o zastrzeleniu? To byłoby rzeczywiście śmiesznem, gdyby pan takiego zwierza na dziesięć kroków odległości nie zdołał zabić. Co prawda, każdemu może się przytrafić nieszczęście! Ale gdyby do tego przyjść miało, natenczas rzuć się plackiem na ziemię, ukryj nos w trawie, oczy zamknij i udawaj zabitego. Powinieneś bowiem wiedzieć, że z niedźwiedziem to taka sama sprawa, jak z człowiekiem. Co poźre, to sam musi zabić; zdechłego ścierwu nie ruszy, i choćby miał rzeczywiście okrutny głód. Ale niech waćpana Bóg broni, gdybyś się miał ruszyć, natenczas nic cię nie obroni od śmierci.«

Zaledwie borowy odszedł, rozległa się wrzawa naganiaczy, coś zaszeleściało w gęstwinie, rozległo się głośne mruczenie, gałęzie się rozstąpiły i przed przerażonym Jacentym stanął niedźwiedź na dwóch łapach, wyprostowany jak człowiek. Przednie łapy roztworzył, jakoby biednego Jacusia chciał przygarnąć do siebie w śmiertelnym uścisku.

»Tonący się brzytwy chwyta,« powiada przysłowie.« Jacenty w śmiertelnych dreszczach

pochwycił za fuzyą i nie wiedząc sam, co czyni, wystrzelił. Rozległ się huk, iskry rozprysły się naokoło, ale miś stał jak posąg. Począł tylko jakoś złowrogo mruczeć; Jacentemu wydawało się, że nadeszła stanowcza chwila. Rzuca się więc na ziemię, zagrzebuje twarz, bladą z śmiertelnego strachu jak płótno, w mchu, wstrzymuje oddech, słowem, udaje znakomicie nieżywego.

Niedźwiedź tymczasem spuścił się przedniemi łapami na ziemię, i taczając się powoli ku leżącemu na ziemi panu Jacentemu, rozpoczął nad nim swe naukowe badania. Najpierw obszedł go kilka razy, obwąchał a następnie potrząsnął silnie łbem, jak gdyby nie mógł znieść zapachu trupiego, i odkaszliwał. Podnosił mu następnie po kolei ręce i nogi. Widocznie chciał się upewnić, czy strzelec rzeczywiście nie żyje. Wszystkie członki opadały jak ołów, miś więc przyszedł do przekonania, że ma przed sobą trupa. Zamiast jednak odejść, usiadło mu natarczywe zwierzę na plecy, wydobyło fajkę, napełniło tytoniem, zapaliło i zaczęło zataczać wonne kółeczka w powietrzu. Widać, że miś mniemany był w dobrym humorze, bo od czasu do czasu zamruczał sobie z zadowoleniem.

Chwalińskiemu, mimo, że nos miał głęboko w ziemi, zdawało się, jakoby niedźwiedzia czuć było tytoniem. Wiedział dobrze, że palacze są dobrodusznemi istotami, więc otucha zaczęła wstępować mu powoli do serca i nieznacznie odwrócił głowę, ażeby spojrzeć ku niedźwiedziowi.

Niedźwiedź jednak zdawał się być tego samego zapatrywania, co szewc w Paryżu. Pewien swawolnik chciał szewca nabawić strachu, więc udał nieżywego. Szewc, którego postawiono przy trupie na straży, zauważył po pewnym czasie, że gdy na kościele wybiła dwunasta godzina, trup począł się poruszać. Szewc jednak przytomności na ten widok nie stracił, przyskoczył do niego z młotkiem w ręku i gruchocąc mu czaszkę, wołał: »Umarły powinien leżeć spokojnie!«

Tak widocznie i miś się zapatrywał. Ilekroć bowiem pan Jacenty się poruszył, tylekroć odbierał od mniemanego misia uderzenia łapami po uszach, że biedakowi za każdą razą odchodziła na kilka minut ochota do życia. Trwało to tak długo, dopóki miś tytoniu nie wypalił i fajki nie wyczyścił o buty i spodnie pana Jacentego. Następnie się podniósł i zabrał się do dalszej podróży. Poprzednio jednak zarzucił przez ramię fuzyą pana Chwalińskiego i pomaszerował swobodnie ku swemu legowisku.

Jakże Jacenty się ucieszył, że mógł na nowo powrócić do życia. Przeleżawszy jeszcze dla pewności kilka minut, podniósł się i trwożliwie patrząc po za siebie, podążał ku domowi. Zaklinał się w duchu, że nigdy na niedźwiedzia polować nie będzie.

Pierwszym, którego spotkał na drodze, był majster szewski Dratwiński. Tenże palił swobodnie fajkę a na ramieniu niósł fuzyą pana Jacentego.

»Panie Jacenty«, zawołał, »strzelcy już wszyscy poodchodzili do domów. Niedźwiedź był przebieglejszy od nas. Nie znaleźliśmy go bowiem, za to zauważyliśmy stopy stóp ludzkich i twą fuzyą, którą zabrałem ze sobą.«

Teraz pan Jacenty odzyskał znowu całą swoją odwagę.

»Zdawało mi się zaraz,« odparł rezolutnie, »jakobym go był trafił. I nie omyliłem się. Bestya stał pięć kroków przedemną. Wymierzyłem i cały ładunek wpakowałem mu we futro. Otrząsł się łajdak nieco, jakoby go była skóra zaświerzbiała i zanim się spostrzegłem, co zamyśla, wyrywa mi fuzyą z ręki i tak mnie nią uderzył, że od tej chwili nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Cieszę się jednak, że nie zabrał mej fuzyi w dalszą podróż!«

Uśmiechnął się poczciwy majster Dratwiński na to łgarstwo pana Chwalińskiego.

»Wiesz co, kochany Jacku«, zaczął, »Bogiem a prawdą, owym niedźwiedziem, któregoś, jak mniemasz, postrzelił, ja jestem. Ja to zapaliłem fajkę na tobie, ja cię po uszach trzepałem, gdyś zamierzał głowę odwracać.«

Pan Chwaliński nie dał jednak za wygraną. »Co,« zawołał gniewnie, »ty mnie pragniesz wystrychnąć na dudka! Prawdziwego niedźwiedzia może znać tylko ten, kto z nim się ucierał, a tym byłem ja, Jacek Chwaliński.«

Nie pomogły żadne tłómaczenia, do dziś dnia żyje pan Jacenty Chwaliński w tem przekonaniu, że on kiedyś rzeczywiście borykał się z niedźwiedziem, który miał tę właściwość, że palił tytoń z fajki.

Praktyczne rady.

— **Przechowanie kartofli.** Pewien właściciel ziemski kazał zsypać pewną ilość kartofli do piwnicy, poczem zmuszony na jakiś czas wyjechać, zapomniał o nich zupełnie. Dopiero na wiosnę przypomniał sobie co zrobił i kazał wydobyć owe kartofle, o których, jako pozostawiowych przez zimę bez żadnej ochrony, pewny był, że zgniły lub porosły. Jakież było jego zdziwienie gdy je znalazł zupełnie zdrowemi, a po ugotowaniu smacznemi jak świeże. Począł tedy badać, co je mogło uchronić od zepsucia, i przekonał się, że je złożono przypadkiem na grubym pokładzie miału węglowego, który widocznie tak zbawienny wpływ na nie wywarł.

— **Jak poznać czy mięso jest świeże.** Mięso świeże ma kolor różowy, mniej świeże czerwony, stare jest blade lub purpurowe. Przecięte mięso świeże i zdrowe ma słój marmurkowy; tłuszcz je-

go jest ścisły, twardy, nigdy miękki, zapach słaby i przyjemny; mięso zaś zepsute wydaje woń silną i odrażającą. Zdrowe i świeże mięso ususzone waży tyle ile ważyło w stanie pierwotnym; przeciwnie mięso zepsute ususzone sporo traci ze swej wagi. Najprostsza próba: nożem wyjętym z ukropu rozkrajać mięso; po woni, jaka się wydobędzie dokoła noża, łatwo poznamy, czy mięso jest świeże lub nie.

Rozmaitości.

* **Angielscy zbieracze.** Mania kolekcyonowania rozciąga się niekiedy na przedmioty, nie posiadające żadnej wartości — ani pieniężnej, ani pamiątkowej. Są osoby, które zbierają skwapliwie guziki, inne znowu bawią się gromadzeniem zużytych biletów tramwajowych itd. Ze wszystkich narodów, Anglicy pochłonięci są najbardziej namiętnością kolekcyonowania. Mania ta popycha ich to kiereszowania pierwszorzędnych arcydzieł. W podróży zbierają pamiątki ze słynnych miejsc, jakie zwiedzają, lecz pamiątki zdobywane są niekiedy w sposób barbarzyński. Wszedłszy do jakiego przybytku, wskazywanego przez »Baedeockera,« jako arcydzieło architektoniczne, Anglik nie ma spokoju, dopóki nie oderwie lub nieodłamie kawałka, choćby ten odłam miał oszpecić całą budowę. O to się Anglik nie zatroszczy, jemu chodzi wyłącznie o wzbogacenie swej kolekcyi. Wie o tej manii służba, oprowadzająca po słynnych muzeach i galeryach i na nikogo tak bacznej nie zwraca uwagi, jak na synów Albionu. W słynnej katedrze w Auch, zakrystyan pokazuje statuetki drewniane, zdobiące stale chóry, arcydzieło kunsztu rzeźbiarskiego, którym jednak braknie nóg, rąk lub głowy. Amputacyi takich dokonały świętokradzkie ręce Anglików. Zbieracze angielscy zapalają się do osobliwych niekiedy przedmiotów. I tak pułkownik Majendie wpadł na pomysł kolekcyonowania rozmaitych narzędzi wybuchowych, które pozbawiły życia jego rodaków. Są tam pudełka od sardynek, zegarki z ukrytym w nich materyałem eksplozyjnym, cygara, przeznaczone do wysadzenia w powietrze p. Forster, sekretarza dla Irlandyi i wiele innych cacek w tym rodzaju, które zapełniają parę sal w domu pułkownika Majendie.

* **Humor katastrof.** I tak straszliwa klęska, jak trzęsienie ziemi, nie bywa pozbawiona momentów humorystycznych. Pochodzi to przeważnie ztąd, iż pewne przedmioty, zamiast w czasie trzęsienia ziemi posuwać się naprzód lub w tył, kręcą się naokoło swej osi. W ten sposób niedawno na Paladze piramida bronzowa skręciła się na podstawie jak grajcarek. Drugi fakt podobny znany jest z czasów trzęsienia ziemi w r. 1867 na wyspie Kefalonii, na wybrzeżu Argostoli Stał tam posąg pewnego generała angielskiego. Podczas trzęsienia ziemi posąg zwrócony poprzednio twarzą w stronę miasta, przekręcił się na swej postawie twarzą w stronę przeciwną. Zrodziło to wcale nie zły dowcip: że generał angielski, oburzony świeżem ustąpieniem wyspy na rzecz Grecyi odwrócił się tyłem do miasta i jego mieszkańców.

* **Nowe rośliny wydające kauczuk.** Ilość kauczuku spotrzebowana w przemyśle wzrasta co rok. W r. 1830 na wszystkich rynkach europejskich sprzedawano zaledwie 454 centnarów angielskich, czyli 1,407 pudów, obecnie do samej Anglii przywożą rocznie 400,000 centnarów kauczuku, którego wartość przewyższa sto milionów rubli w złocie. Zapotrzebowanie takie nie odpowiada produkcyi, która okazuje się niedostateczna. Do tej pory kauczuk otrzymywano z roślin: »Siphonia elastika« i »Ficus elsatica«, następnie z niektórych roślin, należących do familii: »Aposynea,« »Artokapea« i »Eptoblacea.« Gdy kauczuku ciągle brakowało, na rynkach handlowych zaczęto otrzymywać go z dwóch nowych roślin, należących do gatunku »Miniusops«. Próby wydały rezultaty bardzo dobre, a ponieważ wzmiankowane rośliny rosną w wielkiej ilości w południowej Afryce, dziś nie ma już obawy, by na brak kauczuku cierpiał przemysł europejski.

* **Siła piorunu.** Podczas burzy w miejscowości Clasthal w górach Harc, uderzył piorun w dom mieszkalny. Spostrzeżono, że piorun zlał ze sobą dwa gwoździki, których średnica wynosiła 4 milimetry. Tak ze sobą spoić nie zdoła nawet najtęższy ogień w kuźni. Jeśli się przyjmie, że siła uderzenia piorunu trwała sekundę, natenczas musiałby piorun rozwinąć siłę 5000 koni, aby dokonać zlania się gwoździ ze sobą. Jest jednak powszechne mniemanie, że uderzenie trwa tylko $1/10$ sekundy. Piorun rozwinął w takim razie siłę 50000 koni.

* **Japończycy** są narodem nadzwyczaj pracowitym i żądnym oświaty. W przeciągu niespełna 30 lat dokazywali prawdziwych cudów na polu oświaty i cywilizacyi. Z zdumieniem czytamy o tem po gazetach. Ale bo też Japończyk jest trzeźwy a przytem używa bardzo wiele kąpieli. Wiadomą zaś jest rzeczą, że woda umysł człowieka orzeźwia. Żaden może naród począwszy od najwyższego dostojnika aż do najniższego pacholka nie dba może w tym stopniu o czystość ciała, co Japończyk. Bogatsi urządzają sobie zakład kąpielowy w mieszkaniu. Uboższy odwiedza kąpiele publiczne, których na każdej ulicy jest pełno. Dziwnem się wydaje być to, że Japończyk lubi się kąpać w gorącej wodzie, a im gorętsza, tem mu przyjemniejsza. Gorąco dochodzi nieraz do 36 stopni, tak że skóra ciała jego wygląda czerwona jak u raka. Gdzieby Europejczyk wytrzymał w takiej temperaturze. Ugotowałby się pewnie żywcem. Niech nikt nie sądzi, aby gorąca woda prowadziła do zniewieściałości. Japończyk potrafi dźwigać ciężary, o których my pojęcia nie mamy, olbrzymie przestrzenie odbywać zdolny spiesznym krokiem, zimą najprzyjemniej mu latać boso w krótkich bawełnianych spodniach

i takim kaftanie. W mieszkaniu używają węgli jedynie na to, ażeby sobie jeść gotować i ręce ogrzać. Tak jak Europejczyk bowiem skarży się na zimno w nogach, tak Japończyk znowu uczuwa mróz w rękach. Może zimą wśród trzaskającego mrozu łowić ryby albo wykonywać wszelkie inne prace godzinami całemi boso, ale do ogrzewania rąk musi mieć osobny piecyk. Jest tak czułym na ręce, że takowe marzną mu nawet w izbie, ogrzanej na sposób europejski. Kąpiel zaś gorąca doprowadza mu do reszty ciała tyle ciepła, że na całe godziny jest nieczułym na zimno i niepogodę, przeziębia się chyba wtedy tylko, gdy kąpiel nie była należycie ciepła.

ŻARTY.

Dobre widoki.

Ojciec (do syna studenta): Karólku, teraz spiszemy twe długi.

Karolek: Dobrze ojcze, ale wprzód trzeba atramentu dolać.

Minuta a minuta.

— Dziwna rzecz — rozumuje Iks — jak względne jest pojęcie czasu! Minuta trwa minutę, jeżeli spieszę się na obiad; trwa pięć minut, jeżeli powiem komuś: „poczekaj pan na mnie minutę“; trwa zaś pół godziny, jeżeli żona moja kładzie kapelusz na głowę.

Na polowaniu.

Baron: Do djabła! znowu spudłowałem.

Leśniczy: Jaśnie Panie! To wina nie jaśnie pana tylko zająca. Taka bestya niezręczna, że się nie dał zabić...

— Dlaczego ludzie teraz mają takie upodobanie w obmowie i plotkach?

— Dla tego, że zdaje im się, iż obmawiając innych, pośrednio wychwalają sami siebie.

Złośliwy.

Stara panna do rybaka, łowiącego ryby: Czy też nie tracicie cierpliwości, jeżeli nic się nie da złapać?

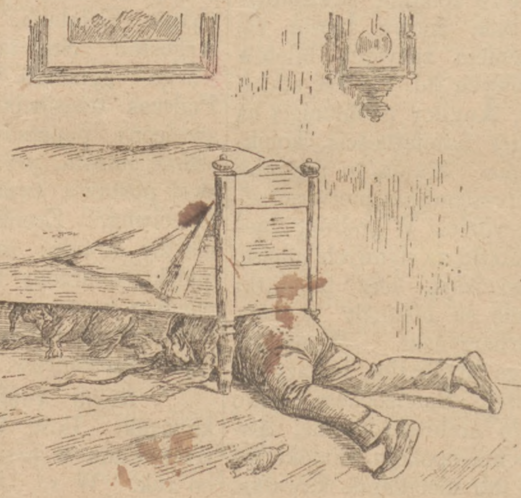
Rybak: Ja nie. A pani?...

Nieprzyjemna przygoda.

(Ciąg dalszy.)



Nagle nasz Kundys pod łóżkiem znika,
Maciej smyk za nim. „Poczekaj bracie,
Dam ci pamiętne,“ tak groźnie wykrzyka.
„Inne teraz czasy przyjdą na cię.“



Nasz Kundys jednak, strachem pędzony.
Wytężył siły, by nie dać się zdobyć.
Bo srogi Maciej, zemstą wiedziony
Mógłby go potem straszliwie obić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.